

281636

II

# Kilka słów o „Ojcu Zadżumionych“

przez

P. Paryłaka

prof. gimn. w Stanisławowie.

Juliusz Słowacki, o którego poemacie, jednym z najklasyczniejszych, mam mówić, należy do trójcy wieszczów naszych obok Mickiewicza i Krasińskiego. Nazwano go olbrzymem wyobraźni, cudotwórcą języka polskiego; bo też rzeczywiście może żaden z nich nie wzbija się tak wysoko lotem orła królewskiego w nieścignione krainy fantazyi, jak właśnie Słowacki. Pod tym też względem wniósł autor „Ojca Zadżumionych“ nowy pierwiastek, w największej potędze i mocy do skarbnicy poezyi polskiej, pierwiastek fantazyi, nad którą zdumiewać się trzeba, i tém właśnie przyczynił się do jój pełniejszego, bujniejszego życia, i tém właśnie odróżnia się on od owój całej plejady poetów Stanisławowskich, którzy więcej na zimno, z pewnem — że tak powiemy — wypracowaniem tworzyli poezye. Stąd ta wszechstronna prawie twórczość jego, stąd ta jój świeżość; tém też wytłómaczyć sobie w części możemy, że Słowacki we wszystkich rodzajach poezyi mniej lub więcej szczęśliwie próbował sił swoich i w niejednym z nich pozostawił utwory wielkiej doniosłości.

Nie mało w tym kierunku wpłynęły na niego podróże, które odbywał, bo i wiedzę jego wzbogacały, i fantazyę podsycały i wzmacniały, i niejeden przedmiot, godzien jego pióra i natchnienia do opracowania mu podały. Do najważniejszych tego rodzaju podróży jego należy podróż na Wschód.

Uwaga. W niniejszej pracy korzystałem miejscami z cennej monografii dra A. Małeckiego „O Juliuszu Słowackim“.



Porzucił Słowacki Warszawę, zaopatrując się w paszport, 8 marca 1831 r. i wyjechał za granicę. Był to krok, który, jak się okazało później, miał być w życiu jego stanowczym. Wyjazdem swoim z Warszawy w 22. roku życia zamknął nasz autor pierwszą połowę zawodu swojego na ziemi. Ta pierwsza życia jego epoka, aż do wyjazdu za granicę, upłynęła mu między swoimi, pośród stosunków prawidłowych i pod wielu względami nader pomyślnych. Od owej chwili poczęła się epoka druga: ustawiczna tęsknota, gorzkie zawody, ciągła walka z przeciwnościami, niekiedy z niedostatkiem i cały szereg dotkliwych cierpień. Takie to życia koleje otwarły się teraz dla naszego poety — na zawsze, aż do samego skonu. Śród tego wszystkiego jednakże dojrzał duch jego, bo przebył ciężką i twardą szkołę życia — a to z korzyścią dla poezji naszej. Skrzydła tego orła rozwinęły się teraz do śmiałego lotu, i oto jeden poemat po drugim jak z rogu obfitości świadczy o bogactwie myśli polskiej i pełni jej ducha.

Oto, co pisze Słowacki w październiku 1835 r. z nad brzegów jeziora genewskiego do matki:

„Wyznam Ci mamó, że znienawidziłem moje pierwsze utwory. Czuję potrzebę większej doskonałości; rozwinęło się we mnie jakieś nowe piękności uczucie. Nie wiem jeszcze, jak się ono przyoblecze w słowa, ale starać się będę, aby coś jasnego napełniało moje karty, aby więcej leż było w słowach. Mam lat 25, trzeba, abym już był tém, czém być mam; i dlatego może nienawidzę moich pierwszych dziełek. Trzy miesiące przepędzone pośród najpiękniejszych widoków przyrodzenia były wielką dla mnie nauką. Uważałem harmonią, która wszystko łączy i nalewa jednym kolorem. Postrzegłem, że sztuka powinna naśladować tę dziwną wszystkiego jedność“.

Słowa te stwierdzają to, cośmy poprzednio powiedzieli.

Więcej nas tutaj obchodzi jednakże podróż poety na Wschód, którą postanowił odbyć z namowy przyjaciół. Do niej bowiem odnosi się właśnie nasz poemat. Ta podróż wschodnia stanowi najwięcej zajmujący, naj-

treściwszy i zarazem najpoetyczniejszy okres w życiu Słowackiego.

„Sześć miesięcy włóczę się jak waryat po świecie — pisał z Bajrutu w lutym 1837 r. — widziałem tyle rzeczy, że nie pojmuję, jak oczy moje mogły wydołać zmysłowi wzroku; czułem wiele, byłem wesół, zachwycony, płakałem. Miałem całe dni pełne dumań, całe miesiące pełne roztargnienia“. Zwidził Grecyą, Egipt, Syryą, Palestynę. Na kilka dni przed wyładowaniem w Alexandryi, napisał prześliczny ów „hymn o zachodzie słońca na morzu“, nad który poezya nie piękniejszego stworzyć nie zdoła. Następnie zwidził Kair, Piramidy, Denderę, Teby. W papierach pozostałych autora znalazło się kilka rzeczy napisanych pod wpływem wrażeń doznanych na miejscu. Do nich należą: „Odwidziny piramid“, „Rozmowa z piramidami“, „Na Nilu“ i „List do przyjaciela Alexandra Hołyńskiego pisany na łódce nilowej“.

Odsiadując kwarantanę razem z towarzyszem swoim Brzozowskim, doznał Słowacki w pustém miejscu, położoném na samém pograniczu Egiptu a Syryi, w El-Arish, rozlicznych przygód, a weale niespodziewanych. Ustęp, który poniżej podamy, tém jest ciekawszy, że wiele z tych obrazów, zdjętych tu z natury, odnajdujemy i w pięknym poemacie: „Ojciec Zadżumionych“ w El-Arish. Oto tak o tém pisze do matki:

„Teraz opiszę Ci moję kwarantanę w pustyni przy malenkiém miasteczku El-Arish. Wystaw sobie drogą, że po ośmiu dniach podróży w piaskach dano nam na odbycie kwarantany 12-dniowej równinę piasku gładką jak stół, otoczoną wzgórkami piaszczystymi do koła, nic więcéj. Wyznaczono tylko miejsce, gdzie miały stać nasze namioty, określono obręb, za który nie mogliśmy przechodzić i zostawiono na łasce P. Boga. Wszakże do malenkiego namiociku, który z sobą mieliśmy, przydano dwa drugie, jeden dla nas, drugi dla ludzi, ale ten ostatni tak podarty, że słońce było w nim panem. Do koła żadnego mieszkania, gdzieby się było można schronić na przypadek deszczu, słowem, miejsce smutne, którego cisza przerywana tylko była dalekim szumem Śródziemnego morza, i po dwu innych stronach hory-



zontu widać było dwa smutne palmowo lasy. Rozlokowaliśmy się wreszcie na tym piasku, wygrzebaliśmy w nim kuchenkę, ja wziąłem namiot wielki, mój towarzysz w naszym małym rozłożył swoje graty, i tak zastała nas wigilia Bożego Narodzenia. Wieczorem towarzyszył mój dobywszy zapomnianego czakana, zagrał mi wiejską kolendę, której słuchałem z rozczuleniem, leżąc na dywaniku w mojej budzie. Podziękowałem mu i wieczór nadszedł. W tém niebo okryło się chmurami, burza piorunowa, ale najokropniejsza z wszystkich burz, nadeszła i trwała całą noc, tj. 13 godzin. Nie możecie sobie wystawić, jaką okropność miała dla nas obu, leżących w osobnych namiotach, ta noc bezsenna, której każda chwila zdawała się ostatnią, tak gromy były okropne, bliskie i gęste. Świeca kilkakroć zapalona zawsze gasła, deszcz przedarł się przez płótno namiotu, a kałuże podmywając nasze łóżka położone na ziemi, zmusiły nas do zwinienia wszystkiego w jeden pakiet, i sami byliśmy parasolami naszych rzeczy. Nakoniec nad rankiem ustała burza i deszczyk lekki tylko pozostał. Wyszedłem, aby zobaczyć, co się z moim towarzyszem stało, i winszowaliśmy sobie wzajemnie. W tém patrzę, aż mała rzecznka płynąca przez dolinę wzbiera, przerywa brzegi i białymi krągłymi falami bieży prosto na nasze namioty. Zrazu nie mogłem pojąć, co to znaczy, tak widok nowój inundacyi nowym był dla mnie. Wkrótce poznałem całe niebezpieczeństwo, i za pomocą sług znieśliśmy namioty i rzeczy nasze w kwadrans czasu na mały piaszczysty wzgórek, a woda zajęła miejsce nasze w dolinie. Tak więc dzień pierwszy świąt pochmurny przeszedł nam smutno suszącym się na górze. Głodni, bo o kuchni myśleć nawet nie było można, przemokli, bez namiotów, spać musieliśmy na wilgotnym piasku, nakrywszy go mokrą rogożą i dywanem. Potem czas piękny wrócił, i trwał aż do przyjazdu naszego do Gazy.

To pisze pod datą 19 lutego 1837 r. w Bajrucie. Zwidziwszy następnie wszystkie najważniejsze miejsca Palestyny, przebył śnieżny Antilibanon, przejechał konno Libanon, równie zasypany śniegiem, i zjechał do krainy, w której zastał najpiękniejszą wiosnę. W górach libańskich zamknął się na półtora miesiąca w jednym

klasztorze, zwanym w języku syryjskim „Spoczynek umarłych“ (*Belcheshban*). Miejsce to odpowiadało położeniem swoim i samotnością usposobieniom poety, który znużony wrażeniami podróży, potrzebował wypoczynku. Tu całe dni przepędzał na dumaniu, upajając się widokiem na morze Śródziemne; dni wielkanocne przepędził również wśród zakonników i odbył spowiedź pełną skruchy i wzruszenia. Daleki od zgiełku świata, tutaj zapewne — mówi Małeckci — napisał poemat „Ojciec Zadzumionych“, prawdziwą perłę literatury polskiej.

Utwierdzają nas w tém mniemaniu własne jego słowa, pisane do matki, a odnoszące się do pobytu w owym klasztorze, z 14 czerwca 1837 r.: „Na górze Libanu pracowałem trochę i owoc moich marzeń także ze mną wędruje“.

Nie powiada wprawdzie poeta, mówi krytyk, co pisał w owym klasztorze; rozważając jednakże cały nastrój naszej powieści, nastrój nader smętny, poważny i poetyczny i porównyując z nim ówczesne usposobienie poety, dumającego tak samotnie w ormiańskim owym klasztorze: nabierzemy przekonania, że właśnie ten poemat wtedy powstał.

Poznawszy tedy historią powstania tego poematu i okoliczności mu towarzyszące, idąc za Małeckim, zapytajmy się, czy to szczéry twór fantazyi, czy też jest w tém jakaś rzeczywista podstawa? Tak. Słowacki, jak sam mówi w precudownym wstępie do „Ojca Zadzumionych“, słyszał historią boleści tego ojca od dra Steble'go, włoskiego wychodźcy, który starał się pobyt jego pod otwartém niebem na pustyni, gdy odbywał kwarantanę, jak najwygodniejszym uczynić. Wydał bowiem ze składu kilka namiotów dla téj podróżnej gromadki, a jak się później dowiedział Słowacki, ręczki żony tego lekarza — są jego słowa — grzęzły w białej i srebrnej mące, aby mu chleba europejskiego nie zabrakło.

Lecz przejdźmy teraz do poematu samego i obaczmy, jak skorzystał Słowacki z owego opowiadania dra Steble'go o owym nieszczęśliwym ojcu.

Zapomnijmy na chwilę, że się znajdujemy w murach ludnego miasta, a przenieśmy się razem z poetą

w piaszczystą dziedzinę wolnych Beduinów, na pustynię, której oko nie dojrzy granic. W tej pustyni, w pobliżu miasteczka El-Arish, między Egiptem a Palestyną, zakreśliły sobie szczupłe miejsce w myśli, które jest sceną naszej powieści i miejscem strasznnej kwarantany, jaką odbywać musiał najnieszcześniejszy z ojców, przeżywszy tu „trzy razy wieków czterdzieści“. Miejsce to puste, bez żadnego domu, błędnym zawiane piaskiem. Na wzgórkach niskim widzimy namiot; opodal nieco rzeczka, sucha prawie aż do dna, przerzyna piasku dolinę i płynie do morza — za nią biała wstęga palmowych lasów, które ożywiają nieco ten grób żywych ludzi; od północy błękitna szarfa morza Śródziemnego, roztrącająca się o piasek i smutnym gwarem fal napełniająca ciche nad pustynią powietrze. Nad morzem na piramidach piasku mogile, błyszczy białą kopułą mały grobowiec Szecha; straszny, albowiem tam w jego lochach składano umarłych z dżumy, a architektura jego i żółtawa białość, nadają mu pozór kościotrupa. Z innych stron wzgórz piaskowe, na nich namioty straży i patrzący na kwarantanę strażnicy w jaskrawych ubiorach wschodnich; w środku zaś doliny niby stożec piaskowy, z którego muezyn obwoływał donośnym głosem wielkość Boga rano, wieczorem i w nocy.

Oto obraz sceny, który znajdujemy w tej powieści, odbity słowami przecudownej a strasznnej poezji, bo widzimy ten obraz przez łzy i rozpacz ojca, bo widzimy ten obraz przez przepaść cierpień najnieszcześniejszej z matek. Cisza piaskowego stepu i szum morza uzupełniają ten przebytek anioła śmierci.

Mamy tedy mieszkanie pustyńne, zbudowane z opisów porozrzucanych w tej historii boleści, obaczmy teraz, jacy jego mieszkańcy.

W namiocie powyżej opisanym zastajemy rodzinę arabską, liczną, bo złożoną z ojca, matki, trzech synów, trzech córek i dzieciątka małego, karmiącego się u łona matki mlekiem jej piersi. Osób razem dziewięć.

Obok namiotu dziewięć wielbłądów, które „w tej chwili cicho się pokładły“, bo nic dotąd nie zamąciło spokoju i swobody życia w kole rodziny, a „dziecko, jak mały aniołek w obrazku, karmiło wróble, a ptaszęta



jadły, aż do rąk prawie przychodząc dziecinie"; bo  
dotąd

„dziewięć dromaderów  
Chodziło co dnia na piasku pagórki  
Karmić się chwastem nadmorskich ajerów,  
A w wieczór wszystkie tu się kładły wiankiem....  
.....

Córki po wodę chodziły ze dzbankiem,  
Synowie jego ogień rozkładali,  
Żona z synaczkiem przy piersiach — warzyła“.

Oto obraz szczęścia, jakiego używała ta rodzina spokojna aż do dnia, w którym po raz pierwszy uderzyć miał piorun srogięgo losu w ten namiot cichy; obraz nikły i mały, ramy jego ciasne, bo też bardzo krótkie było to jęj szczęście. Ojciec biędny, opowiadając dzieje ciosów okropnych, jak stracił wszystkich z dżumy, nie ma słów wiele, aby opisywać jaśniejszą dolę swoją, bo groza położenia jego obecnego, po stracie najdroższych, opanowała całą jego istotę, owaładnęła całą jego duszę tak, że zatarła w nięj pamięć kilku chwil jasnych dawniejszego życia, tak przytłumiła te wspomnienia początkowe, że tam w tęg duszy nie ma dla nich miejsca obecnie, bo boleść silniejsza, która mu łyzy wyciska, niż owa radość krótka dawniejsza, która krasila jego lica wdzięcznym uśmiechem serdecznego rozrzewnienia na widok dzieci. To też w kilku tylko wierszach zamknął poeta wzmiankę o szczęśliwęg jeszcze rodzinie, i tu, jak w wielu miejscach tęg powieści, okazał się wielkim znawcą duszy ludzkiej, głębokim psychologiem. Bo czyż to nieprawdziwe? Czy nie jest tak rzeczywiście w naszym życiu codzienném, które nazwano bardzo pięknie i zmyślnie wieńcem splecionym i z kwiatów i z cierni? Czyż w wielkiej boleści nie zapominamy o kwiatach szczęścia, któreśmy zrywali tu i ówdzie w ogrodzie życia, a w wielkiej radości czy nie pomijamy cierni, które czasem boleśnie uraziły nogi nasze na ścieżce prób i doświadczeń? Zapytajmy sami siebie, a znajdziemy odpowiedź stosowną.

„Cała rodzina dzisiaj pogrzebiona przybyła ze mną“. Temi słowy samego poety nawiązujemy nić dalszą w niniejszych uwagach. Więc ta rodzina już pogrzebiona,

pogrzebiona cała pod ową straszną kopułką Szecha, o której we wstępie wspominaliśmy. Oto straszna treść strasznój powieści, przy czytaniu której krew w żyłach się ścina, tak plastycznie, tak prawdziwie nam to poeta opisuje. Więc syn najstarszy, na którego najmłodsza siostra lekko trysnęła wodą, powróciwszy od małej rzeczulki w dolinie z dzbankiem na głowie — z ogniem zapalonym w oku, pochwyciwszy dzbanek w drżące dłonie, mówiąc: „Sam Bóg ci za wodę zapłaci, bo chcę pić jak pies, bo ogień mam w łonie“ — więc ów syn, wypiszy wodę, „powalił się jak palma złamana“. Więc Hafne i Amina, dwie siostry, téjsamój nocy umarły zarażone dżumą, jak syn najstarszy. Więc po dziesięciu dniach od skonu dwu córek wyniósł ojciec biedny z trądami dżumy najmłodszego syna „na step pomiędzy wielbłądy, aby go tam śmierć zgryzła do ostatka“... a potem dwaj czarni grabarze pogrzebali go „przy siostrach i bracie“. Od tego skonu naznaczono Arabowi nowych dni czterdzieści kwarantany. Wkrótce zabrał anioł śmierci średniego syna rodzicom, który umarł spokojnie i cicho. Po śmierci wyglądał okropnie, jakby chciał lica swoje wrazić w serca nieczule rodziców, oczy im przerazić i wiecznie zostać w ich pamięci „z twarzą co woła: jesteście przekłęci“....; przekłęci za to, żeście mnie najmniej kochali w rodzinném gronie. Obudzone sumienie ojca odezwało się teraz, to też wyznaje on, że Bóg wynagrodził go za obojętność rodziców — „bo mu dał cichą śmierć i lodowatą, bez żadnych bólów“... Plastiknie wyraził ten stosunek poeta okropnością twarzy jego, na której, że się tak wyrazimy, usiadło sumienie ojca jako straszny sędzia, domagający się słusznego odwetu.

Nie tu kres boleści. Największa teraz czekała próba naszego bohatera. Po dniach bowiem trzydziestu ujrzał we śnie Hafnę i Aminę „w lekkie owinięte chmury“, które mu przyszły zabrać ze sobą najmłodszą dziewczynę, Hatfę, anioła pocieszyciela rodziców, co wszystkie opłakała ciosy i wszystkie ich łzy brała na włosy: Tę córkę ojciec sam zaniósł na cmentarz. Po niej w pięć dni weszła niesyta śmierć zdradziecko do namiotu po nową ofiarę, bo oto najmłodsze dziecię, najmilsze i ostatnie,



wydawszy straszny jęk, poszło do braci i sióstr pod kopułę Szecha, dokąd je sama matka zaniosła.

Namiot już pusty — został mąż z żoną. Śród grobowej ciszy doczekali tak dni czterdziestu. Przybyli lekarze kwarantany dowiedzieć się, ażali nie dotknięci i oni zarazą. Żona uderzywszy się w stawy na zlecenie lekarza „tam, gdzie zaraza pierwsze rzuca strupy, zbłądła, i zachwiała się z jękiem i upadła“.

Znowu dni czterdzieści pozostał samotnik na swoim cmentarzu; on, który wszystkie swoje trupy całował, wyszedł zdrowo z tej kwarantany.

Skreśliwszy w krótkości w ten sposób treść tej historyi boleści, zapytajmy się, jaka myśl zasadnicza tkwi w tym utworze. Nietylko bowiem o nagą treść chodziło poecie — tegoby było za mało, bo poezya, wnikać w głąb rzeczy ludzkich, wnikać w tajniki duszy człowieka, tej najciekawszej i nie zawsze rozwiązanej wielkiej zagadki Stwórcy, ma za zadanie, przybrawszy w łupinę złotą słowa jądro wiecznej prawdy, tę prawdę opromienić światłem słońca i jasną jak słońce przedstawić nam ją przed oczy. W tém właśnie polega zacność i prawda poezyi, w tém ów wpływ czarowny i urok, który w niej widzieć nam każe wiecznie młodą, wiecznie świeżą piastunkę myśli, kolei i dziejów ludzkości. Z tych prawd korzystali i korzystają poeci w najrozmaitszy sposób, stosownie do usposobień własnych i własnego sposobu widzenia rzeczy.

Głęboki i bystry krytyk Małecki w obszerniej i wyczerpującej monografii o Juliuszu Słowackim myśl zasadniczą poematu temi wyraża słowa: „Jeżeli chodziło o przedstawienie ciosów nieszczęścia, walącego się na głowę upatrzonęj istoty, dopóki takowa nie wyda z siebie ostatniej łzy, ostatniego jęku, i przestając już prawie czuć po ludzku, nie zamieni się w marmur, z suchą powieką zdolny rozpamiętywać swoje boleści: to tego zamiaru zupełnie tu dopiął poeta. Taki zaś, zdaje mi się, był właśnie wszystek cel jego w dziele obecném, usprawiedliwiony dostatecznie okolicznością, że tego rodzaju zdeptanie całego szczęścia czyjego zdarza się nieraz na ziemi naszej — nie pytając o przyczyny, dlaczego się zdarza? Przyczyny te pozostaną niedocie-

czone, mimo wszystkiego, jak je tam sobie każdy tłómaczy“.

Oto prawda i w życiu i w poemacie, prawda, którą skryształizował Słowacki w brylancie najczystszej wody naszej poezyi, jakim jest właśnie Ojciec Zadźmionych. Daj Boże, aby między nami i nigdzie w świecie takich nieszczęśliwych ojców i matek nie było! jednakże nie zaprzeczymy, że jak z jednej strony są wybrańcy i kochankowie losu, którym w ciągu życia, jak zwykliśmy mówić, i włos z głowy nie spadnie, którym szczęście z hojnego rogu obfitości sypie kwiaty pod nogi i dary ze złota; tak z drugiej znajdują się i tacy, którzy ciągle tylko gorzki chleb niedoli w boleści i płaczu, za swoimi i za sobą — połykać muszą. Wyobrażicielem takich właśnie ludzi jest ojciec Arab, dla którego boleść była uczuciem powszedniem, który miał wreszcie „powieki bez łez i serce z kamienia“, „bez żadnych bólów, pamiątek, omanień“.

Zjawisko to duszy prawdziwe i naturalne; po takich bowiem gromach serce traci wrażliwość, struna po strunie pęka, jeden kwiat uczucia więdnie i usycha po drugim — a w tém sercu, pełném niegdyś tych kwiatów, a w téj duszy, pełnej niegdyś nieba, powstaje pustka niczém nie zapełniona, którą nazywamy rezygnacją czyli rozbratem z tém wszystkiem, co w nas mogło wywołać pewne wrażenie jeszcze, czy wesołe, czy smutne.

Zmyślnie i nader plastycznie uzmysłowili tę prawdę psychologiczną Grecy w posagu kamiennym Nioby, która po stracie swych dzieci przemieniła się w nieczuły głaz. Z takim posągiem kamiennym Nioby albo Laokoonta spotkać się możemy niejednokrotnie w potoczném życiu naszym.

Popatrzmy tylko na starców, którzy przeżyli wszystkich swoich (*ultimi suorum mortui sunt*) i teraz osamotnieni jak upiory duchowi błakają się śród nas, także „bez żadnych pamiątek, bez żadnych omanień;“ popatrzmy tylko na staruszki, które z ostatniem dzieckiem pogrzebały ostatnią w tém życiu nadzieję: a poznamy prawdę myśli poety, z tą tylko różnicą, że ojciec ów doznał tylu tak strasznych nieszczęść w przeciągu trzech miesięcy, nasi zaś starcy w ciągu długiego nie-

raz życia — powoli, nie naraz, stawali się ofiarą katuszy nieszczęścia. W duszy ich jednakże te same mimo to odbyły się zmiany, jak kwiat, który powolnym ścięty mrozem zupełnie tak ginie jak, gdy go nagły zwarzy oddech śmierci. Zależy to tylko od czasu.

Malczewski w Maryi tę myśl temi wyraził słowy:

„W tym ciemnym ludzkich uczuć i posępnym lesie,  
Dla jednych czas powoli odrętwienie niesie;  
Gubią listek po listku — aż w późnej jesieni,  
Jak mszyste, głuche dęby stoją obnażeni.  
Drugim — skwarem ich słońca zbite nawałnice  
Rzucą z trzaskiem i grzmotem dzikie tajemnice“.

Obaczmy teraz, jak skorzystał twórczy geniusz poety z obrazów przyrody, które okalały to miejsce zresztą puste, jak skorzystał z tajemniczych jęj głosów, które przemawiały symbolicznymi tony do wrażliwej jego duszy, w tym celu, aby nam w zmysłowych, że tak powiem kształtach, przedstawić niechwytną stronę uczuć tego nieszczęśliwego ojca, i określić je widomie na widomém i rzeczywistém tle zjawisk, na które patrzył. W tym względzie podziwiać trzeba u Słowackiego ten dar zmyślności poetyckiej w korzystaniu z najobojętniejszych, jakby się zdawało, przedmiotów do celów poezyi i sztukę łączenia tychże ze stroną duchową poematu w jedną piękną, harmonijną całość. Przyroda jest dla niego księgą otwartą, w której doskonale czytać umie i różdżką czarodzieja wydobywa z niej głosy, jakich mu potrzeba; ona jest jego niewolnicą posłuszną, a on jęj panem, górującym nad nią swoim duchem.

Aby się o tém przekonać, czytajmy w tej złotój książeczce. W początku zaraz mówi ojciec:

„O! niewiadoma ta boleść nikomu,  
Jaka się w sercu mojem dziś zamyka,  
Wracam na Liban, do mojego domu —  
W dziedzińcu moim pomarańcza dzika  
Zapyta: starcze! gdzie są twoje dziatki? —  
W dziedzińcu moim córek moich kwiatki  
Spytają: starcze! gdzie są twoje córki?  
Naprzód błękitne na Libanie chmurki  
Pytać mię będą o synów, o żonę,  
O dzieci moje — wszystkie pogrzebione



Tam pod grobowcem tym okropnym Szecha! —  
 I wszystkie będą mię pytały echa,  
 I wszyscy ludzie, czy wracam ze zdrowiem  
 Pytać się będą — cóż ja im odpowiem? „....

Otóż poeta wkłada niejako w usta martwych przedmiotów przyrody pytania, skierowane ku temu ojcu, a dotyczące jego dzieci, chcąc przez to wyrazić, że niema nawet natura czuje tę boleść ojca i pyta w troskliwości o jego dzieci.

Czytajmy dalej:

„Widzisz to słońce w niebie lazurowém?  
 Zawsze tam wschodzi za lasem palmowym  
 Zawsze zachodzi za tą piasku górą,  
 Zawsze to niebo nie splamione chmurą:  
 A mnie się zdało wtenczas, nie wiem czemu,  
 Że słońce słońcu nie równe złotemu,  
 I już nie takie, jakie było wczora,  
 Ale podobne do słońca upiora....  
 A niebo, które patrzyło na zgubę  
 Mego rodzeństwa, moich trojga dzieci,  
 Tak mi się mgliste zdawało i grube  
 Ziemi wyziewem i słońca purpurą —  
 Że nie wiedziałem, czy pacierz doleci  
 Do Pana Boga, co się zakrył chmurą!“

W tém miejscu mógł rzeczywiście powiedzieć ten Arab, że najpiękniejszy dzień w przyrodzie dla innych, był dla niego najbrzydszym, bo do duszy jego ciemnej nie mógł się przedrzeć złoty promień słońca; jak odwrotnie znowu dla jednego z bohaterów Szekspirowskich najbrzydszy dzień w przyrodzie był najjaśniejszym dniem szczęścia, bo w duszy jego to szczęście mieszkalo. Czy to nie prawdziwe psychologicznie? Czy najcięższy poranek majowy uśmiecha się do nas, gdy chmura smutku kirem żałoby zasnuje czoło nasze — i odwrotnie, czy widzimy całą grozę szalejącej burzy w przyrodzie, gdy w duszy naszej miły spokój i szczęścia upojenie?...

Czytajmy dalej: gdy konał najmłodszy syn jego:

„tam nad palmy z twarzą nielitośną błądy miesiąc wschodził,  
 I patrzył — tego z pamięci nie zatrzeć!  
 I nie wiem, jak tensam miesiąc mógł patrzeć?“

Zdawało się ojcu w téj chwili, że księżyc nie powinien był patrzeć na boleść jego i na męki syna, że powinien był zakryć się czarną chmurą i tym sposobem okazać dla niego współczucie — lecz nie — ten księżyc, jakoby się naigrawał z mąk jego, jak zawsze, gdy był jeszcze szczęśliwym, tak i teraz wspaniale kroczył po jasnym niebios lazurze. Przedziwnéj piękności to obraz i prawdy; jego raził ten widok majestatyczny, bo dusza jego innych, strasznych doznawała widoków.

Znowu przypomina nam się tutaj ustęp podobny z autora „Maryi“, kiedy Wacław, powróciwszy z pola bitwy, chcąc czém prędzój powitać kochaną żonę, stuka do drzwi, których mu nikt nie otwiera.

Było to już w nocy:

„Spojrzał na księżyc w pełni, co jego postawę  
W czarnych, olbrzymich kształtach obalał na trawę —  
Jak słodko i spokojnie bieg swój jasny toczy!  
Ach! bo na swoje słońce ma zwrócone oczy!  
Uchylił rycerz głowę; widzieć mu się marzy,  
Jakby szyderski uśmiech w téj pyzatej twarzy“.

Po śmierci tego syna żyli rodzice, nie mówiąc do siebie ni słowa; sądzili bowiem, że pozorem śmierci oszukają śmierć, że oszukają Boga w niebie, który mniemając, że i oni już pomarli w namiocie, odwróci od nich ten „bałwan zarazy“. I tu przyznać musimy poecie sztukę głębokiego wtajemniczenia się w serce człowieka, który niemiej w ciężkiej boleści, nie mogąc wydobyć słów, pod brzemieniem cierpień upadając. W takich chwilach łez mu brak nawet.

„A ta pustynia —

odzywa się ojciec do szczęśliwego, który nie ma dzieci w grobie —

ona inaczej wydaje się tobie,

Może złocista, jasna i weselna?  
Lecz dla mnie, jest to równina piekielna!  
Przez tę równinę, przez te piasku kupy,  
Ciągnięto śniade moich dzieci trupy...  
A tam na wzgórzu, kędy morze bije,  
Dla ciebie szumi morze — dla mnie wyje...  
A kiedy z wichrem na brzegi nie skacze,  
Dla ciebie szemrze tylko — dla mnie płacze“.

To morze więc wydaje dla niego inne tony, niżeli dla każdego, stosownie do usposobienia, w jakim się ktoś znajduje. Gdy spienione, dla innego — szumi przyjemnie, dla niego — wyje strasznie; gdy spokojne, dla innego — szemrze łagodnie, dla niego — płacze, łzami boleści.

Muezyn, który co dnia obwoływał wielkość Boga z pagórka piaskowego, wzywał i ojca nieszczęśliwego do modlitwy — lecz tę modlitwę zanosił on do Boga strasznego, mściwego, karzącego ludzi największymi klęskami. To też woła ojciec:

„O! bądźże mi ty pochwalony Alla!  
Szumem pożaru, co miasta zapala —  
Trzęsieniem ziemi, co grody wywraca —  
Zarazą, która dzieci me wytraca,  
I bierze syny z łona rodzicielki —  
O! Allach! Akbar Allach! jesteś wielki!....“

W tém położeniu i wśród takich stosunków nie zna ojciec Boga miłości, lecz „Boga niszczyiciela, sojusznika gwałtu i fizycznego zwycięstwa“ — mówi Szujski, ten człowiek bluźni, jak bluźni niejeden w krewkości i słabości ludzkiej, gdy się miara nieszczęść przebierze. I oto prawda, mająca źródło w niedołęstwie sił naszych.

„W namiocie pustym ja zostałem z żoną  
Ale czy pojmiesz? — zamiast nas połączyć,  
Boleść obojgu nam rozdarłszy łono,  
Zaczęła jakieś jady w serca sączyć . . .  
I teraz chyba je sam Bóg oczyści —  
Smutek podobny był do nienawiści,  
I stanął czarny, wielki między nami . . .  
Więc rozłączeni byliśmy i sami,  
I nie mówiliśmy do siebie ni słowa“. —

Znowu nową prawdę psychologiczną odsłania nam poeta. Czyż nikt z nas nie doznawał podobnych uczuć, gdy go spotkało nieszczęście? czy nie zdaje się nam wówczas, niewiedzieć dla czego, jakoby inni byli sprawcami naszej smutnej doli? — W tém uczuciu stronimy wtedy od ludzi, i zamykamy się w sobie, bo mamy jakiś żal — nieuzasadniony — to prawda — do ludzi. Jesteśmy wówczas „mniej z ludźmi“ — może „więcej z Bogiem, a zresztą jednacy“. Zagadka to, ale zagadka rzeczywista, i z téj zagadki również skorzystał poeta.



Nim zdążymy do kresu, przypatrzmy się jeszcze bliżej Arabowi, który umyślnie, śmiałym twierdzić, wysunięty tutaj na pierwszy plan poematu, i żonie jego, o której tylko przy sposobności, mimochodem w ciągu opowiadania wspomina mąż jój, a zresztą zupełnie bierną w poemacie ma rolę. Czyżbyśmy przypuścić mogli, że ta Arabka nie czuje téj straty tak, jak ojciec zadżumionych? Że ona obojętnie się przypatruje tym strasznym scenom, których jest świadkiem, równie jak mąż jój? Czy to niewiasta bez serca matki? Tak nie jest. Gdy się oto pytam, zdaje mi się, że może nie odpowiem niestosownie słowami, iż ów Arab właśnie dla tego, że go poeta wysunął naprzód, przedstawia i wyraża wiecznie męski pierwiastek siły odpornéj wobec ciosów losu; on bowiem z nim walczy, a nawet w zapomnieniu — w Bogu sprawiedliwości widzi tylko Boga niszczyciela i zwycięscę fizycznego, jakoby mu zarzucał niesprawiedliwość: Arabka zaś, w ukryciu będąca, przedstawia znowu wiecznie niewieści pierwiastek cichego, w sobie zamkniętego, lecz nie mniej głębszego z téj właśnie przyczyny — cierpienia. Bo oto matka ta odgrzebała o północy dziecko swoje, ucałowała usteczka i wzięła sobie pamiątki z grobu jego. Ten czyn więcej może mówi, niż pełne boleści wyrzekania ojca. Ona cierpi, lecz się nie żżyma, nie bluźni Bogu, nie porywa się do walki z losem; Arab cierpi, lecz temu cierpieniu chce ulżyć słowami, których żona znaleźć nie może, bo nie ma ni siły męskiej ni wyrazów, by ująć tę przepaść mąk w należyte kształty. To téż mimowoli przypomina mi się tutaj ustęp z Pieśni o dzwonie Schiller'a, gdzie właśnie dosadnie — choć na tle inném — określa poeta owę odporną siłę mężczyzny słowami, które pozwolę sobie tutaj przytoczyć w oryginale:

„Der Mann muss hinaus ins feindliche Leben,  
Muss wirken und streben,  
Muss pflanzen und schaffen,  
Erlisten, erraffen,  
Muss wetten und wagen  
Das Glück zu erjagen“.

Dospiewajmy sobie na tém tle zwrotkę o owéj sile odpornéj mężczyzny w nieszczęściu, a będziemy mieli właśnie postać naszego bohatera Araba.

## II

Jakże inaczej przedstawia się nam postać Arabki. Naturze jej wiecznie niewieściej, wiecznie cichój a głęboko czującej w szczęściu i nieszczęściu, dał wyraz nasz myśliciel-poeta, wielki Krasiński w wierszu pod napisem „Pożegnanie“ temi słowy:

„Temu co czuję, nie szukaj imienia,  
Na co słowami kazić świętość myśli!  
Co nikt nie dozna i nikt nie określi,  
To żyje we mnie wiecznością cierpienia“.

Tak mogła o sobie powiedzieć owa matka Arabka, tak może powiedzieć każda niewiasta-matka. Jeżeli przeto nazwać możemy jedną część Dziadów Mickiewicza historią, monografią — że tak powiem — poetyczną miłości osobistej, to również słusznie nazwać możemy Ojca Zadżumionych monografią poetyczną boleści we wszystkich jej skalach, od najniższej aż do najwyższej, dramatem boleści, którego scena w duszy nieszczęśliwych rodziców.

